ZNAKI ŻYCIA

Tom II



Wioletta Milewska

Wioletta Milewska
„Znaki życia. Tom II”

Copyright © by **Wioletta Milewska**, 2017
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta i redakcja: **Bożena i Janusz Sigismundowie**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Ilustracje na okładce: © **ngocdai86 – Fotolia.com**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-7900-727-1

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

I

Mżyło.
Drobne kropelki wody muskały delikatnie szybę, tańczyły na szkle, potem spływały w dół zygzakowatym torem, pozostawiając za sobą łzawą linię, jakby wiedziały, że muszą wytyczyć drogę następnym, biorącym udział w tym szaleństwie.

Inne kuleczki siadały płasko na wielkich liściach kasztanowca, a następnie ześlizgiwały się zeń na samą jego krawędź, której przytrzymywały się jeszcze przez krótki moment, po czym całymi koloniami zeskakiwały radośnie na ziemię i wniknąwszy w suche jeszcze pory żyznej gleby, zaczynały zabawę w chowanego, przenikając do poszczególnych gruzełków glebowych. Zaśmiewały się cichutko jedna przez drugą jak rozszczebiotane pensjonarki, tak że w całej okolicy słychać było ich jednostajne, beztroskie dokazywanie.

Niedzielę już o bladym świcie można by zaliczyć w poczet dni straconych. Przede wszystkim dlatego, że trzecia z kolei porcja ibuprofenu nie poprawiła w żaden sposób obrzydliwego samopoczucia. Owszem, tysiąc dwieście miligramów substancji czynnej przyjmowanych w regularnych, cogodzinnych dawkach po czterysta takich jednostek wagowych naraz, bardzo wyraźnie dało się odczuć najpierw w opuszkach palców wszystkich kończyn, a potem w całych dłoniach i stopach.

Nawet ból jakby nieznacznie osłabł.

Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko czekać, aż środek przeciwbólowy w formie czerwonych, owalnych kapsułek,

zgodnie z zapewnieniem producenta, z prędkością błyskawiczną bezbłędnie trafi w źródło bólu.

Od piątej siedem, kiedy Sylwia połknęła pierwszą kapsułkę, ból nie ustępował, zmuszając ją do systematycznego przyjmowania kolejnych. Jednak nigdy nie odważyła się wziąć więcej niż trzy, a i to tylko wtedy gdy nie mogła wytrzymać okrutnej męczarni, jaką zgotował jej po raz kolejny własny organizm.

Nieznośny, kłująco-rozpierajacy ból zdawał się przewiercać mózg na wskroś i rozsadzać czaszkę, jakby kości były wykonane z cienkiego papieru, z jakiego zwykle robi się na masową skalę chińskie lampiony.

Po dwugodzinnym wysiadywaniu w fotelu Sylwia podniosła się ociężale i z opuszczoną nisko głową podreptała z powrotem do łóżka. Może uda się jeszcze wyrwać bólowi zagrabioną bezprawnie porcję dobrotliwego snu i może za jakąś godzinę uda się obudzić na nowo, ale już bez tego przygniatającego poczucia bezradności i wszechogarniającej pustki.

Otumaniony środkami przeciwbólowymi umysł zapadł natychmiast w stan niespokojnego półczuwania.

I właśnie z tego dziwnego świata pomiędzy jawą a snem, w którym odbywała męczącą wędrówkę po błotnistych pagórkach przechodzących w bagniste obniżenia, wydobyło ją rytmiczne stukanie.

Jeszcze nie do końca świadoma chwyciła plastikowy budzik, który pełnił cierpliwą wartę na niskiej szafce nocnej, i spojrzała na cyferblat. Dochodziła jedenasta, a Sylwii zdawało się, że ledwo przyłożyła ciężką głowę do poduszki.

Jakieś mroczne uczucie dziwnej dezorientacji wywołane bez wątpienia środkiem przeciwbólowym nie pozwalało na jasną i obiektywną ocenę rzeczywistości, o której przypomniała dopiero wyrywająca się nagle z ciszy ponowna seria stukających dźwięków.

Ktoś dobijał się do drzwi.

Sylwia dźwignęła powoli nieskore do współpracy ciało i z niemałym zdziwieniem połączonym z wdzięcznością uznała, że sprawca, który wcześniej postanowił rozłupać jej delikatną czaszkę od środka, jak rozłupuje się dojrzałe, pachnące orzechy włoskie, by zasmakować w ich wartościowym, bo bogatym w liczne substancje odżywcze, wnętrzu, stracił widać swą diabelską cierpliwość i ze swego postanowienia zrezygnował. Paskudny ból zastępowało teraz tępe, ledwo wyczuwalne tętnienie w skroniach, promieniujące gdzieś w okolicę szyjno-potyliczną, a następnie spływające w dół kręgosłupa falami, które powodują dreszcze.

Pozostało też jednostajne, choć znośne wrażenie rytmicznego kłucia gdzieś w obszarze kości ciemieniowej. Porównując natomiast te symptomy z poprzednimi objawami, każdy medyk zgodziłby się z diagnozą, że pacjentka z otchłani piekielnej powróciła na padół doczesny.

Malwina, straciwszy już nadzieję, że gospodyni jej otworzy, zrobiła zwrot na pięcie i zanim zdążyła postawić pierwszy krok w kierunku schodków, usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

Straciwszy na chwilę równowagę, zrobiła kolejny zwrot, jak żołnierz w czasie musztry i stanęła oko w oko z Sylwią. W dłoniach trzymała dwie ogromne, piękne papryki: czerwoną i żółtą, a na twarzy miała serdeczny uśmiech, który przepadł gdzieś natychmiast po tym, jak zobaczyła sąsiadkę.

– Boże, Sylwia! Coś nie tak? Dobrze się czujesz? – zapytała z nieukrywaną troską w głosie, nie dbając o powitanie.

– Już w porządku – Sylwia starała się być przekonująca. – Zarwałam noc i teraz się trochę położyłam. Już jest lepiej. Wejdź – zachęciła gestem ręki. – Napijemy się kawy.

– Nie chciałam ci przeszkadzać... Gdybym wiedziała, że śpisz... Masz tu – ciągnęła Malwina niedokończonymi zdaniami, wyciągając przed siebie smakowite owoce – zrobisz sobie na obiad... albo jak zechcesz.

– Ale nie ma gadania! Wejdź. Ja zaraz się ogarnę. Daj mi tylko trzy i pół sekundy – wyrzuciła z siebie gospodyni tonem niepozwalającym na żaden kompromis, po czym ruszyła tuż za oponującą wciąż kobietą, którą puściła przodem.

Malwina weszła do kuchni i utkwiła wzrok w stojącej na blacie wysokiej szklance, przy której spoczywało pokaźne opakowanie ibuprofenu. W naczyniu było jeszcze trochę wody, a i niedomknięty kartonik z lekarstwem mówił, że zażywano je w pośpiechu.

– Przeziębiłaś się? – Malwina spróbowała jakoś taktownie zasięgnąć od niedomagającej informacji, która pozwoliłaby jej na błyskawiczne działanie. – Masz miód? Jak nie, to ci podrzucę – zaoferowała się szczerze, uwolniwszy ręce od ciepłych jeszcze pękatych strąków, które delikatnie położyła obok pudełeczka z medykamentem.

– Nie. Dzięki za dobre intencje, ale nie jestem przeziębiona – wyznała zapytana. – Bolała mnie głowa, ale już mi przeszło – uśmiechnęła się szeroko dla potwierdzenia swoich słów. – Ślicznie ci dziękuję za paprykę – dodała, kierując się do łazienki, gdzie sprawnie poprawiła fryzurę.

– Nie ma za co! – Malwina podniosła głos, żeby być dobrze słyszana. – Niech ci pójdzie na zdrowie!

– Nie może być inaczej. Dziękuję. – Gospodyni wyłoniła się z łazienki i włączyła czajnik z wodą.

– A co tam u Mariana? Dzwonił? – Malwina nie musiała udawać troski.

– W porządku – Sylwia siliła się na szczerość. – Wiesz, tak sobie myślę, czy by go teraz nie odwiedzić – wyjawiła myśl, która właśnie przyszła jej do głowy, i otworzyła lodówkę. – Mam jeszcze trochę wolnego. Po wakacjach to już absolutnie nie wchodzi w grę – motywowała się na głos do wnętrza chłodziarki.

– A nie boisz się? Sama chcesz tam jechać? Bez języka? – za serią pytań podążył równie niedowierzający wzrok Malwiny.

– Malwinka! Toż to nie jest Dziki Zachód! – nauczycielka mówiła jak do swoich podopiecznych. – Trochę angielskiego chyba wystarczy. Dziś wszędzie mówi się po angielsku.

– Jesteś odważna babka! – poważnie osądził gość.

– Ty też jesteś odważna babka. I nikomu nie pozwalaj sobie wmawiać, że jest inaczej. – Wzrok Sylwii mówił, że inna postawa jest nie do przyjęcia. – Nie wolno ci pozwalać na zastraszanie i poniżanie. To jest psychiczne znęcanie, wiesz?

– Ale nikt mnie przecież nie poniża i nie straszy – broniła się Malwina, po czym odruchowo utkwiła wzrok w miejscu, w które wpatrywała się Sylwia.

Zarówno dłonie Malwiny, jak i całe przedramiona intensywnie drżały i widać to było gołym okiem, co ją samą zaskoczyło.

– Skąd się to wzięło? – zapytała Sylwia z udawaną ironią. – O czym teraz myślisz? – zrobiła znaczącą przerwę. – Niech zgadnę! Myślisz o tym, że on może nie wie, gdzie jesteś. Myślisz o tym, że będzie ciebie o to wypytywał. I myślisz o tym, że musisz, ale to koniecznie m u s i s z mu dowieść, że byłaś u mnie, a nie spotkałaś się z ukochanym. Moim niefachowym zdaniem, ty masz jakąś nerwicę, moja kochana – zdiagnozowała ostatecznie. – Niech jeszcze zgadnę, skąd to się wzięło.

– Daj spokój. – Malwina, przysłuchując się przemówieniu sąsiadki, zdawała się zapadać pod ziemię z sekundy na sekundę. – To musi być coś innego. Ja wcale nie biorę do siebie tego, co on mówi. Przecież wiesz, że to tylko jego chore wymysły.

– No to skończ to puste gadanie i bierz się do roboty. Pokaż mu, że skoro jemu wolno, to tobie też! – nie ustępowała Sylwia. – I nie wmówisz mi, że nie przez niego t o masz. – Ruchem głowy wskazała wciąż drżące dłonie sąsiadki. – Ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. On cię z premedytacją wykańcza psychicznie. I wiesz co? Twoim zadaniem jest się nie dać!

– Ale, Sylwuś, zrozum mnie... ja nie chcę nikogo mieć... w każdym razie j e s z c z e nie...

– Ty mnie nie słuchasz! – Sylwia nie pozwoliła Malwinie dokończyć rozpoczętej myśli. – Ja ci nie mówię, że powinnaś kogoś mieć! – tłumaczyła dobitnie i skupiwszy się na szykowaniu kanapek, nie podnosiła wzroku. – Ja ci mówię, że ty masz tylko p o k a z a ć mu, że kogoś masz. Niech on się też przekona, jakie to uczucie.

– Ale jak? – Malwinie brakowało pomysłów.

– Zobaczymy, co da się zrobić – zapowiedziała Sylwia. – A teraz chodźmy na taras – rzuciła, chwytając talerz pełen kanapek. – Weźmiesz kawę? – upewniła się.

– No jasne. Z rozkoszą. – Malwina chwyciła obydwa kubki i podreptała za Sylwią, która wolną ręką otworzyła przeszklone drzwi.

Przestało siąpić i choć niebo wisiało nisko, spowijając ponurą okolicę wszechobecną ciemnobłękitną szarością, to o intensywnych opadach świadczyły teraz jedynie nasiąknięta życiodajną wilgocią gleba, mokra nawierzchnia drogi i skapujące z liści duże, ciężkie krople oraz wiercący w nozdrzach zapach ozonu.

Było ciepło, ale przesiąknięte wilgocią powietrze sprawiało na odkrytej skórze wrażenie orzeźwiającego chłodu.

Sylwia sięgnęła po zieloną ściereczkę, którą przetarła okrągły blat, by Malwina mogła ustawić na nim pachnący napitek, a następnie uwolniła dłonie, postawiwszy pożywny prowiant na stół.

– Przyjemnie tak sobie posiedzieć przy kawce. – Malwina rozmarzyła się widocznie, zaciągnąwszy się łapczywie powietrzem wypłukanym deszczem z większych zanieczyszczeń.

– Romantyczka z ciebie – zawyrokowała Sylwia. – W ogóle uważam, że ten twój bawidamek nie zasługuje na kogoś takiego jak ty – zapewniła szczerze.

– Bo jeszcze pomyślę, że czegoś chcesz ode mnie – powiedział z nutką swawolnej ironii gość. – Jeśli myślisz, że podżyruję ci kredyt, albo coś w tym rodzaju, to nawet gdybym chciała,

nie mogę. Jestem kompletnie niespłacalna. – Malwina rozłożyła ramiona w geście bezradności.

– Szkoda, bo właśnie dlatego ci to powiedziałam. – Sylwia przybrała wyjątkowo sztuczną minę. – Trudno. Nie chcesz dać się wciągnąć w manipulacje, to nie. I bardzo dobrze – kobieta ściszyła głos. – Tylko pamiętaj o tym, że przy nim też musisz być taka stanowcza. – Sylwia porozumiewawczo mrugnęła okiem.

Do Malwiny dotarło tylko tyle, że widać faktycznie jest za bardzo uległa w relacji z Błażejem i powinna była mu się bardziej postawić.

A ponieważ Błażejowi wolno było bez skrupułów zasad moralnych kompletnie nie przestrzegać, tym bardziej jej wolno będzie nie przestrzegać ich... tak troszeczkę.

Zadbany ogród Sylwii, napojony do syta deszczową, miękką wodą, zdawał się tętnić nowym życiem i zmieniać w okamgnieniu. Malwina była pełna podziwu, bo sama nigdy nie miała dość czasu, by o swoich kilka roślinek porządnie zadbać.

Choć troszczyła się należycie o swoje uprawy pod folią i spore poletko warzywne, to mały ogródek z roślinami ozdobnymi był na końcu listy obowiązków. Z tego przecież chleba nie było, a i sił czasem już wieczorem brakowało.

Wnikliwie przemierzając łapczywym wzrokiem po bujnych, pięknych krzaczkach wielkokwiatowych róż, po ciemnozielonych krzewach strzelistych żywotników oraz krótko przystrzyżonej soczystej trawie, Malwina czuła się tu niczym w edenie, fantazjując o tym, że może kiedyś...

– A co się stało z tym żywotnikiem? – zapytała nagle, spostrzegłszy pokaźny brak w żywopłocie.

– Widzisz, okazało się, że kawałek drzewka sobie poszedł – zażartowała Sylwia. Była wściekła, że ktoś przywłaszczył sobie cały konar bez pytania, ale i pewna, że silna roślina wkrótce sobie poradzi i zapełni pustą przestrzeń.

– Jak to: „poszedł"? Złamało się? – dociekała Malwina.

– No tak. W pewnym sensie. To znaczy: podszedł ktoś do drzewka, potem odłamał jego kawałek za pomocą rąk i potem gałąź sobie „poszła" niesiona w łapie złodzieja.

– Ukradli ci?! – wyraziła niedowierzanie Malwina, po czym nagle zerwała się na równe nogi i podbiegła do okaleczonej rośliny. – Nie martw się! I tak złodziej nie będzie miał z tego pożytku! Widać, że szkodnik wcale się na tym nie zna! Tylko szkoda drzewka! – krzyczała z odległości kilku metrów, oceniając oglądaną z bliska bliznę.

– I to mnie cieszy! Że łajdak nie będzie miał z tego pożytku – odkrzyknęła gospodyni w kierunku wracającej z miejsca zbrodni przyjaciółki. – Myślę, że podlec posadził sobie całą gałąź, więc mu się nie ukorzeni – powiedziała z satysfakcją.

– I dobrze! – ucieszyła się też Malwina.

– I niech go wielkie wciornastki stadem oblezą! – życzyła Sylwia.

Nastała chwila ciszy, w której rozbrzmiewały tylko brzęczące dźwięki pracujących wokół trzmieli i dźwięczne trele głośno oznajmiających swoje wszędobylstwo ptaków.

Kobiety popijały aromatyczną kawę bardzo dobrego gatunku i wszystkimi zmysłami czerpały z dobrodziejstw matki natury.

Obie przyglądały się żółtodziobemu kosowi, który znienacka wylądował nieopodal na mokrej trawie. Kontemplował krótko coś ważnego, przekręcając ruchliwy, mały łebek, a dostrzegłszy czworo obserwujących go oczu kobiet, niczym czyhającego w bezruchu żarłocznego Tetraoculusa, uznał nagle, że ani chybi stanie się przekąską. Poderwał się więc do lotu i usiadł na samym czubku silnej jodły koreańskiej, mającej niegdyś zapewnić gospodyni zdrowe potomstwo.

Ptak, znalazłszy na górze bezpieczniejszą lokalizację, brakiem zagrożenia szybko się znudził i wzbił się w górę, rozłożywszy czarne, lśniące skrzydełka, by po kolejnej sekundzie zniknąć na dobre z oczu dziwnego drapieżnika.

Sylwia spożywała swój pierwszy tego dnia posiłek, a i ciepło zachęcona przez gospodynię Malwina skusiła się na jedną kanapkę. Choć apetyt jej ostatnio nie dopisywał i z reguły czuła, że ma wciąż ściśnięty żołądek, teraz poczuła się na tyle odprężona, że głód nagle dał o sobie znać i dopraszał się o wzbogacenie skąpych porcji, jakimi od dawna raczyła kobieta swój układ pokarmowy.

Dopiero gdy wszystkie kanapki zniknęły z talerza, Malwinie przyszła do głowy pewna idea, którą nie od razu zamierzała się z Sylwią podzielić.

– Wiesz co? Chodźmy. Przejdziemy się kawałek – zaczęła kusić. – Dotlenimy się, a przy okazji chciałabym coś sprawdzić.

– Czytasz mi w myślach – roześmiała się Sylwia. – Właśnie przyszło mi do głowy, że przydałoby mi się trochę ruchu. A co chcesz sprawdzić? – dopytywała.

– Później ci powiem – tajemniczo obiecała zapytana.

Dopiwszy resztę zawartości kamionkowego kubka, Malwina podniosła się z trzeszczącego krzesła i rozciągnęła leniwie, podczas gdy jej towarzyszka już zniknęła w głębi domu. Gdy ubrana w buty i lekką bluzę, pojawiła się z powrotem przed gościem, wydała komendę:

– Idziemy!

Wyszły na mokrą jeszcze drogę, opustoszałą w niedzielne deszczowe przedpołudnie i kroczyły niespiesznie przed siebie.

Nina siedziała właśnie na schodkach przed domem, więc matka zachęciła ją:

– Przejdziesz się z nami do końca wioski i z powrotem?

– Chętnie – rozpromieniła się dziewczyna, po czym wymieniła pozdrowienia z Sylwią i wybiegła do kobiet.

Podczas gdy Nina tokowała bez przerwy, dzieląc się z nauczycielką swoimi obawami dotyczącymi wyboru studiów, Malwina rozmyślała nad czymś głęboko albo przypominała sobie coś, bo przymrużała oczy, jakby raziło ją jasne słońce zasłonięte

obecnie grubą warstwą wielkiej chmury, z której lada moment należało się spodziewać deszczowego prysznica.

Jednakże koło domu Jendyckich, z drewnianą werandą okoloną niewielkim oraz obsadzonym kilkoma zaledwie niezadbanymi, większymi egzemplarzami roślinnymi ogródkiem, kobieta maszerowała zdecydowanie wolniej. W końcu stanęła jak wryta i taksując wzrokiem jedną z roślin, rzekła:

– Spójrzcie no, dziewczyny, jaki wyjątkowy okaz czerwonej porzeczki.

Tak zachęcone towarzyszki zatrzymały się tuż obok kobiety i podążając za jej wzrokiem, spojrzały na rzeczony krzew, a potem na siebie nawzajem.

Pierwsza odezwała się Nina:

– Normalna porzeczka. Zwyczajny krzak. Nie widzę w nim nic wyjątkowego. – Spojrzała na matkę wzrokiem wykluczającym możliwość występowania u badanej zaburzeń wzrokowych.

– To nie jest normalny krzak porzeczki – Malwina ciągnęła tonem, którym zwykle wprowadza się słuchacza w opowieści o duchach, wampirach lub innych nadprzyrodzonych zjawiskach. – To jest nadzwyczajny krzew... Gadający krzew... – kontynuowała, przesadnie przeciągając przerwy między zdaniami. – Ten krzew kryje w sobie wielką tajemnicę. I zaraz nam ją wyjawi.

Nina spoglądała na matkę, jakby pierwszy raz widziała ją na oczy. Sylwia zaniemówiła tylko na chwilę, po czym nakazała:

– Mów! Co z tym krzakiem?!

Przyparta do muru kobieta podeszła do sięgającego jej talii ogrodzenia, przechyliła się przez nie, następnie wyciągnęła rękę na całą długość ramienia i sięgnęła do jednej z gałązek, którą ujęła mocno w dłoń i podniosła w górę, wydobywając ją z gęstwiny. Od strony dolnej gałąź wyposażona była w niewielką, plastikową doniczkę wypełnioną ziemią i nie była wcale

częścią czerwonej porzeczki, lecz ciemnozielonym, pokaźnym kawałkiem... tui.

Dobrze ukryta wśród rozgałęzień krzewu sadzonka miała się widocznie w bezpiecznym schowku ukorzenić, by potem stać się prawomocną własnością złodzieja.

Swoje cenne odkrycie Malwina, z rysująca się na twarzy dumą, ustawiła na środku ścieżki wydeptanej pomiędzy paroma innymi krzakami i bez skrępowania zwróciła się do Sylwii:

– Mam nadzieję, że wolno mi dotykać twoich roślin w twojej obecności. – Następnie spojrzała na każdą ze swoich towarzyszek. – Może chcesz ją z powrotem? – zapytała. – Podobno swoje to i z kościoła można zabrać – dodała z ironią.

– Daj spokój! Niech się tym nażrą. – Sylwia nie ukrywała rosnącej irytacji.

– Jak ty to zauważyłaś? – nie dowierzała Nina. – Przecież patrzyłam na ten krzak... ale tej gałęzi nie widziałam – przyznała.

– Widzisz, bo ja nie patrzyłam na to, co widoczne – matka utrzymywała tajemniczy ton. – Ja szukałam tego, czego nie widać. Mam w tym wieloletnie doświadczenie – rzuconym córce kwaśnym uśmiechem skwitowała wspomnienie o kolejno odkrywanych na przestrzeni ostatnich dziewięciu lat kryjówek i faktów z życia Błażeja. – Ja też nie widziałam tej gałęzi, bo była naprawdę nieźle zakamuflowana. Zobaczyłam za to, że na ziemi, zaraz za krzakiem, stoi doniczka. Jakby ktoś ją tam specjalnie ukrył. Z doniczki coś wyrastało i... dopiero tak zobaczyłam, która to gałązka nie pasuje do innych.

Sylwia była nie tyle zaskoczona i pełna podziwu dla Malwiny, co wściekła. Nigdy nie było żadnych nieporozumień między nią a starą Jendycką i z pewnością dałaby jej sadzonkę, gdyby tylko Weronika ją o to poprosiła. Wprawdzie nie mogła zaprzeczyć, że Gustawa Jendyckiego uważa za starego dziwaka i zapatrzonego w siebie obrażalskiego egoistę, ale z jego żoną dogadywała się zawsze bez problemu.

– Nie rozumiem tego. Przecież dałabym im tę sadzonkę. Dobrowolnie. Nie musieli jej kraść – Sylwia wyrzucała z siebie niedowierzanie połączone z bezradnością i z rozmachem ruszając w dalszą drogę, dodała głośno, zwróciwszy się w stronę otwartej furtki okiennej: – Wystarczyło poprosić!

– Chyba nie ma ich teraz w domu. Do kościółka pojechali – poinformowała Nina. – Zawsze na jedenastą jeżdżą – uzupełniła.

– Ale po co? – Sylwia nie kryła oburzenia. – Do kościoła? Żeby się wyspowiadać? Rozgrzeszyć siebie samych? Pokazać się ludziom? Udowodnić wszystkim w parafii, że żyje się w zgodzie z Bożymi przykazaniami, żeby móc je potem z czystym sumieniem profanować?

Zapadła krótka cisza, którą przerywały miarowe kroki.

– Trudny test – improwizowała Malwina. – Mam nadzieję, że wielokrotnego wyboru, bo zaznaczyłabym wszystkie odpowiedzi.

– Ależ śmiej się, proszę bardzo, z mojej krzywdy. – Sylwia wyglądała na znacznie bardziej spokojną, a nawet lekko rozbawioną i tylko lekkie zdenerwowanie świadczyło teraz o jej niedawnym wzburzeniu.

Przez całą dalszą drogę opowiadała o tym, jak to którejś jesieni, przed laty, poszła wykopać swoją piękną wielkokwiatową georginię i spróbowawszy najpierw wyrwać roślinę bez użycia szpadla, wyciągnęła z ziemi wetknięty w nią, skośnie obcięty, gruby badyl z kwiatostanem. Po bulwach nie było śladu, a Sylwia była niemal pewna, że o zamiarze wykopania cennego okazu przed zimą mówiła wcześniej Weronice.

Po kilku innych cennych roślinach, które dzieliły kolejno los wielkokwiatowej pięknej dalii, nie pozostawało dla odmiany nic,poza odpowiadającymi wielkości przywłaszczonego bezprawnie mienia rozgrzebanymi wgłębieniami w ziemi.

Jendycka odwiedzała Sylwię czasami, a gospodyni zawsze proponowała jej kawę bądź herbatę i gdyby miała wytypować złodzieja, tę kobietę wykluczyłaby na pewno. Takie doświadczenie

dawało jednak do myślenia i Sylwia była przekonana, że licząc od dnia dzisiejszego, jeżeli Weronika będzie wciąż ją odwiedzać, może się spodziewać jedynie absolutnie nieszczerej uprzejmości z jej strony.

Wróciwszy z krótkiej przechadzki, kobiety pożegnały się i rozstały na ulicy, po czym rozeszły do swoich domów, a Sylwii zaświtał w głowie pewien plan. Postanowiła mianowicie, pod pretekstem nabycia od Kasi Jendyckiej dziesięciu jajek, których faktycznie nie potrzebowała, pójść do domu ludzi, którzy ją okradli, żeby po prostu spojrzeć im w oczy.

Odczekała więc do wieczora i z mocno mieszanymi uczuciami wyruszyła z domu, by swoje zamierzenie zrealizować.

Na wysokości ogrodzenia okalającego pas ziemi służący jako przydomowy ogródek ludzi, do których zmierzała, maszerowała wolniej, tak by móc dokładnie przyjrzeć się miejscu, w którym po raz ostatni widziała część swojego żywotnika, czyli przestrzeni w okolicy wąskiej ogrodowej dróżki.

Ustawionej przez Malwinę doniczki już tam nie było, a i pod rozrośniętym krzakiem czerwonej porzeczki tym razem nic nie stało, więc Sylwia krótko przemierzyła wzrokiem cały ogródek.

Parę niewysokich krzewinek oraz okrągły klomb obsadzony bratkami nie dawały wielu możliwości ukrycia na metr wysokiego eksponatu, zatem nie tylko fakt zmiany jego położenia został już odkryty, ale i schowek wybrano znacznie bezpieczniejszy. Należało wziąć również pod uwagę możliwość, że roślinę przygotowano do przetransportowania w miejsce bardziej odległe, czyli takie, w którym Sylwia prawdopodobnie nigdy nie zagości.

Wchodząc do kuchni, kobieta spostrzegła, że Weronika, jakby czymś przestraszona, zerwała patelnię z maszynki i pobiegła z nią prędko na drugą stronę pomieszczenia, po czym włączyła małą kuchenkę i tam kontynuowała smażenie dużej porcji jajecznicy. Podeszła następnie do poprzednio używanego sprzętu i niedbałym ruchem przekręciła kurek, wyłączając urządzenie.

Sylwia zrozumiała, że pod nieobecność młodych, Jendycka gotuje na ich maszynce, zużywając przy tym gaz, za który również bez wątpienia zapłacili.

– Młodzi wyjechali – poinformowała zapytana o synową stara Jendycka, zaś na dźwięk przejeżdżającego drogą samochodu podbiegła do okna.

Zresztą stara Jendycka podbiegała do okna za każdym razem, kiedy tylko dało się słyszeć przejeżdżający pojazd. – A ja się nie interesuję jej biznesem – zapewniła.

– A nie wie pani, kiedy wrócą? Może przyjdę później. – Sylwia obserwowała pulchną kobietę i próbowała dostrzec w niej cień zażenowania, ale Weronika tylko poprawiała ustawicznie fartuch na obfitych piersiach i oświadczyła:

– Ja tam nikogo nie pytam, dokąd jedzie i kiedy przyjedzie. – Kręciła głową, jakby nie wierzyła własnym słowom. – Jak chcą, to sami powiedzą, a jak nie chcą, to nie mówią. Mojemu Gutusiowi jak raz jajeczniczki na skwareczkach się zachciało – zmieniła temat kucharka, zamieszawszy zamaszyście w żółtawej brei. – A ja to nie mogę tak tłusto jeść. Ja to zaraz choruję – wyjaśniała dalej, z grubsza wycierając opryskaną tłuszczem maszynkę ciemnoszarą szmatą.

– Myślałam, że pan Gustaw też na żołądek wrażliwy. – Sylwia przypomniała niedawne narzekania Weroniki dotyczące żywienia męża, które miało się opierać na ścisłej diecie.

– No niby jo! Ale czasami tak człowiekowi się zachce... – Jendycka zawiesiła głos.

– To ja pójdę. Nie będę przeszkadzać – postanowił gość.

– No. Nie mogłam pomóc – w głosie gospodyni nie słychać było cienia żalu, którego można się było spodziewać w połączeniu z wyrażanymi słowami.

Pożegnawszy się na tyle uprzejmie, na ile było ją stać, Sylwia wyszła na podwórko i odetchnęła z ulgą. Była zadowolona z siebie, bo dowiedziała się znacznie więcej, niż zamierzała.

II

W przeddzień wyjazdu Janina wręczyła córce całe dwieście złotych.

– Masz tu za prąd i za to, co tam jeszcze zużyliśmy – powiedziała wyniośle. – Nasze pościele i ręczniki popierzesz – nakazała jeszcze.

Wiktoria wzbraniała się krótko, bo kwota wydawała się jej o wiele za wysoka, ale matce jej sprzeciw był najwyraźniej obojętny, a dyskutowanie o oczywistych i niepodważalnych następstwach jej postanowień całkowicie zbędne.

Bieżący rachunek za prąd był już opłacony, więc dziewczyna zdecydowała, że gotówka, której permanentnie brakowało, przyda się na uregulowanie kolejnej raty za jej kurs. Uszczuploną kwotę postanowiła jednak koniecznie odłożyć najprędzej, jak się da, by w razie czego móc z czystym sumieniem powiedzieć, że została przeznaczona na cel zgodny z życzeniem ofiarodawcy.

Ale termin gonił i obawa, że skreślą ją z listy za niewywiązanie się z umowy – również.

Niech to będzie żelazny zapas, z którego można będzie korzystać – postanowiła Wiktoria – *pod warunkiem że się go zwróci.*

Pakowanie wywoływało jeden wielki rwetes. Janina, niczym pierwsza przekupka na dorocznym przedświątecznym jarmarku, wydawała rozkazy. Każdy był zobowiązany odnaleźć swoje dokumenty, przeliczyć swoje pieniądze, by się upewnić, że stan faktyczny odpowiada oczekiwanemu, oraz nie zostawić niczego ważnego.

Mniej ważnych i niekoniecznie potrzebnych rzeczy można było zapomnieć, ponieważ w niedługim czasie, a po dokończeniu kolejnego etapu prac na budowie, Tomaszek zamierzał odwiedzić matkę, o czym Wiktoria wywnioskowała z samych półsłówek.

– Nie przyjedziesz do mnie. – Janina zwróciła się do córki z pytaniem brzmiącym jak stwierdzenie. – Teraz masz tyle świń. Jest przy tym roboty – dodała, ostatecznie wykluczając jakąkolwiek inną ewentualność.

– Niestety, z czegoś trzeba żyć. – Wiktoria uniosła ramiona i poparła swoje słowa długim westchnieniem.

– Gdzie drugi joystick?! – przyglądający się siostrze Mikołaj wyglądał, jakby stracił milion dolarów.

– Poczekaj. – Wiktoria oglądała kolejno poszczególne części swojego ciała, a potem zanurzyła obie ręce w kieszeniach na taką głębokość, na jaką się tylko dało.

– Tutaj go chyba nie ma. – Robiąc minę błazna, rozłożyła szeroko ręce.

– Ale ty jesteś!!! – oburzył się nastolatek, wstrząsnąwszy śmiesznie całym swoim ciałem.

– Nie będę szukała twojego joysticka, Mikołku. – Wiktoria pozbawiła brata ostatniej nadziei na jej udział w wielkiej akcji poszukiwawczej. – Jest na pewno tam, gdzie go położyliście.

Janina natomiast, z miną charakterystyczną dla bezlitosnego przywódcy plemienia Jakiegośtam, którego totem liczył sobie setki, jeśli nie tysiące lat, wkroczyła dziarsko do pokoju chłopaków i zaczęła energicznie przeszukiwać na wpół spakowany bagaż syna.

– Ten, Mikołeczku? – Ostrożnie wydostawszy z obszernej, podróżnej torby główną część zaopatrzonego w liczne guziczki przedmiotu z kawałkiem podłączonego kabla, którego końcówka była wciąż zaplątana w bezładną masę nieułożonych ubrań, Janina zrobiła minę odkrywcy dumnie okazującego swój wiekopomny triumf.

– Szukałem w torbie – poważnie zapewnił Mikołaj, a jego posępna twarz pojaśniała nagle, jakby zagubiony wcześniej gruby milion zwrócono mu przy dźwięku salw armatnich.

– No widzisz, wszystko można znaleźć, jak jest uporządkowane i na swoim miejscu – siostra próbowała zachęcić chłopca do zadbania o porządek. – Ja wiem, gdzie co leży, bo wszystko ma swoje miejsce – kontynuowała, a przypomniawszy sobie, że czasem trzeba liczyć się z ingerencją osób trzecich, nagle sposępniała.

– Tylko lenie mają porządek – wtrącił się Tomek, którego zaciekawiło poruszenie powstałe w pokoju, więc stał teraz oparty o framugę drzwi i z boku obserwował całą scenę. – Bo nie chce im się szukać – dokończył po chwili ze śmiechem.

Wszystkim obecnym bardzo się Tomaszkowe powiedzenie podobało. Tylko jedna Wiktoria, dopatrzywszy się, może niezamierzonego, przytyku, miała minę poważną. Musiała jednak się zgodzić co do tego, że jeśliby uznać postawioną tezę za pewne kryterium, jej brat bez wątpienia do leniwych nie należał, choć dotąd nie uważała go za obiboka, kierując się innymi wyznacznikami.

Atmosfera się oczyściła i w domu znowu zrobiło się gwarno.

Ponieważ Agata musiała pilnie pojechać do miasta, Janina z córką przygotowały lekki obiad, jako że na później zaplanowano wieczorek pożegnalny, czyli skromną imprezę, na którą każda z kobiet miała przyrządzić jakieś danie.

Wiktoria wyglądała na bardzo zadowoloną, ponieważ tego dnia Ksawery zajął się świniami, co było czystą ulgą dla jej kręgosłupa oraz całego, ostatnio bardzo nadwerężonego, organizmu.

Agata wróciła niedługo po piętnastej, natomiast po tym, jak siostra Tomka odegrała scenę honorowego przekazania jej dyżuru w kuchni, natychmiast przepadła w pokoju, nie dając znaku życia do dwudziestej, czyli do czasu przyjętego wcześniej za początek zaplanowanej imprezy rodzinnej. Dokładnie bowiem o tej godzinie wynurzyła się z kryjówki i głośno zapytała:

– Długo jeszcze? – A wprawiwszy tym pytaniem w osłupienie wszystkich obecnych, dodała: – Bo ja już głodna jestem.

– Nie, niedługo. – Wiktoria zachowała śmiertelną powagę. – Jeszcze tylko ta sałatka – wskazała ruchem głowy przygotowywaną właśnie potrawę – i już możemy jeść.

Po dziesięciu minutach wszystko zaczęło znikać z talerzy w tempie ekspresowym, a po kolejnych kilku, w czasie których padały tylko pojedyncze krótkie zdania, przeważnie wychwalające smakowitość pokarmów, gwar urósł do poprzedniego poziomu.

Kiedy już dziewięcioro zgłodniałych biesiadników zaspokoiło pierwszy głód, chłopaki na nowo zaczęli roztrząsać osiągnięte przy użyciu plastikowych joysticków wyniki osobistych dokonań oraz przydawali sobie nawzajem słusznej przebiegłości, analizując kolejno powzięte strategie. Eliza z kolei wydawała się niepocieszona i broniła swojej pozycji jak umiała, wykazawszy na liczbach swoje niewielkie doświadczenie w obsłudze konsoli.

Tomek relacjonował Ksaweremu przebieg dzisiejszych prac, nie oszczędzając najdrobniejszych nawet szczegółów, jakby jego nieobecność wymagała bezwzględnej konieczności przekazania całościowego raportu pracy. Konstanty czynnie się włączał, uzupełniając sprawozdanie Tomaszka.

Agata zaś opowiadała Janinie o swoim nowym nabytku w postaci zakupionych w korzystnej promocji kilku par spodni, z których każda od innych czymś się różniła. Różnice wprawdzie były niewielkie, ale nie sposób było odmówić sobie posiadania każdej z pięciu sztuk portek. Aby się upewnić, że Janina dobrze zrozumiała, na czym te różnice polegają, opisywała je wciąż od nowa.

Spałaszowano niemal wszystko, nie szczędząc pochwał przypisywanych, rzecz oczywista, nie kucharkom, lecz potrawom. Nawet Agata, która kolacji wszak nie jadała, wtrąciła:

– Ale się nażarłam. Chyba zaraz się porzygam – co miało prawdopodobnie oddać taką smakowitość dań, że nie sposób było odmówić sobie tego i owego, i tego, i owego... i tego też.